

# GŁOS KOLEGIALNY

Organ organizacyj uczniowskich Kolegium. ——— Wychodzi raz w miesiącu.

Adres Redacji: Radecznicza, Kolegium (lub.)

Radecznicza, 15 lutego 1938.

## Zew złotego rogu...

Hen — od japońskiego Sachalinu, z kraju wschodzącego słońca, przypłynął do nas „Apel” Przełożonego tamtejszej Misji, N. O. Feliksa Hermanna: „Do Młodzieży Serafickiej”, który zdolen jest do głębi wzruszyć nasze młode serca i rozpalić je ogniem miłości Bożej, jak również chęcią oddania się Bogu na służbę misyjną. Ponieważ ma on duże walory wychowawcze i może rozniecić jeszcze bardziej tłące w nas nasze pragnienie największe i wskazać nam drogę właściwą, po której mamy kroczyć, by dojść do celu naszego życia, więc by zapadł głęboko w nasze serca i dusze a zarazem by i inni wiedzieli, kędy wiedzie droga, na którą wzywa nas ten „złoty róg” podajemy go niżej w całości:

\* \* \*

„Boski Misjonarz odzywa się słodko do Apostołów: „Pójdź za mną”. I poszli i stali się rybitwami ludzi.

„Pójdź za mną” powinno w naszych czasach rozbrzmiewać, na wszystkich rogach ulic różnobarwnymi afiszami i świetlaną reklamą i wołać tubą setek megafonów. Czyż tylko chciwość mamonny i chęć używania zmysłów mają prawo krzyknąć na każdego przechodnia? To przecież syk węża piekielnego, który, niestety, wielu zwodzi. „Pójdź za mną” —

oto słodkie wezwanie Jezusa do szlachetnych dusz, które Mu pragną życie poświęcić.

— Dokąd — pytasz się młodzieńcze?

— W kraje pogańskie! Pan Jezus chce cię zabrać na połów dusz. Chce cię uczynić misjonarzem, byś dalej prowadził Dzieło Odkupienia, byś pracował w imieniu Jego nad rozszerzeniem Królestwa Jego na krańce świata.

Weź do ręki atlas i popatrz się na mapę statystyki wyznaniowej świata. Co za olbrzymie pola do pracy misjonarskiej. Litości! — błagają tysiące

konających pogan, zaścielających pobojowiska nieszczęśliwego Kraju Środka (tj. Chiny). Taki sam jęk leci od setek lat od nieśmiertelnej duszy japońskiej do twojej duszy. Do ciebie, seraficka młodzieży, która się wychowujesz w duchu „Pokoju i Dobra” i brzydzisz się tworem militarystyki współczesnego, do ciebie wołają o ratunek miliony dusz, które giną w morzu pogańskiego świata. Do ciebie, polska młodzieży, dolatuje rozpaczliwy sygnał S.O.S. (Ratuj dusze nasze!).

Oto na odludnej niedawno wyspie Sachalin rozsiadło się już półmilionowe kłębówisko ludności pogańskiej, na to zaś wszystko za ledwo szczęście misjonarzy!

Katolicycy rodzice i wychowawcy! Odsłońcie choć na chwilę przed oczyma waszych dzieci i uczniów ten prze-



Św. N. O. Franciszek Zakonodawca i Misjonarz



cudny ideał żołnierza Chrystusowego, który bez armat i karabinów idzie z miłością i prawdą odwieczną na podbój świata. Odsłońcie przed nimi Chrystusowych odkrywców owych łądów i ludów, pokażcie im prawdziwych budowniczych chrześcijańskiej cywilizacji, tych inżynierów Bożych, przerzucających mosty prawdziwej miłości między ludźmi odmiennych ras i kultur, tych prawdziwych ambasadorów tronu Pożego.

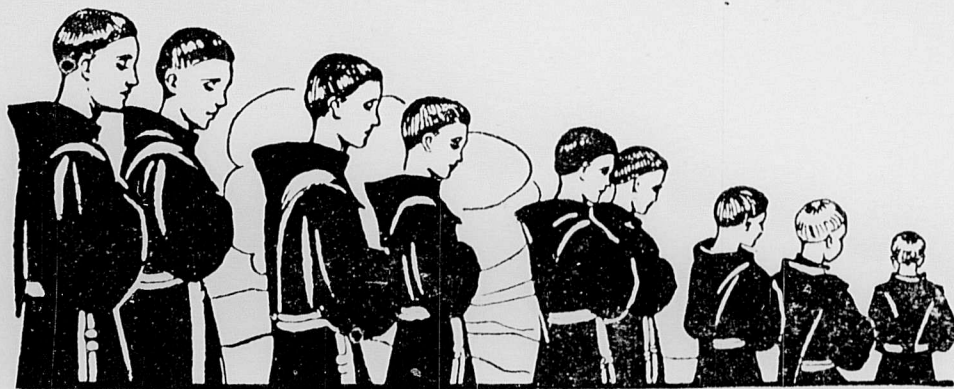
Mało nas jest i słabe są siły nasze. W czym więc sercu zabłyśnie światło ofiary i poświęcenia się sprawie misyjnej, niech pamięta, że ogień ten spalić musi w sercu wszystko, co niskie i ziemskie. Za głos powołania nie wolno brać głosu wyobraźni, która w wyprawie misyjnej wietrzy sensację lub urok osobistej przygody. Symbolem Misjonarza jest Krzyż Zbawiciela. Najważniejszym zaś bagażem podróży nie jest aparat fotograficzny lub apteczka podręczna, ale własne serce, kochające Boga i dusze nieśmiertelne. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie słowa misjonarza, chociażby były muzyką i rzeźbą, ani gesty wyuczone w szkole dokonują nawrócenia, lecz Jezus, który żyje w misjonarzu.

W daleki świat misyjny prowadzi zwyczajnie droga przez bramę klasztorną. Kto pragnie wyjechać na Sachalin jap. i tu odtwarzać Chrystusa niech zapuka do furty Kolegium Seraf. w Radechnicy lub klasztornej OO. Bernardynów w Leżajsku czy we Lwowie.

Wody olbrzymiej sadzawki pogańskiego świata drzemią. Panie! Ześlij Anioła, poślij modlitwę tercjarzy i tercjarek polskich".

\* \* \*

O, co za przedziwnie piękny ten „Apel”. Gdy się go czyta, dusza rwie się do czynu i wysoko wzlatuje, by orlim okiem spojrzeć na niezliczone rzesze pogan, wśród których, niby wyspy na oce-



anie, unoszą się nieliczne misjonarskie placówki. Między nimi i Was widzimy, Najprzewielebniejsi OO. Misjonarze, krzątających się na jap. Sachalinie.

Zdajemy sobie z tego sprawę, jak żmudną jest wasza praca. Więc, aby Wam pomóc, codziennie zanosimy modły do Dawcy wszelkich łask, by ulżył Wam w tak ciężkiej pracy, na Chrystusowej niwie, by serca pogan uczynił podatne na siew słów Bożych. Bądźcie pewni, że w Waszym dziele nie jesteście samotni, gdyż w ojczystych stronach każde serce bije miłością i wdzięcznością ku Wam za Wasz trud i poświęcenie. Każde serce życzy Wam tylko dobra i zadowolenia wewnętrznego, każde serce o Was pamięta.

Mało Was jest. Sami o tym mówicie. Owszem, przyznajemy, że jest Was tylko garstka. Lecz miejcie nadzieję, iż wkrótce powiększą się Wasze szeregi. Wszak w kraju wzrasta młodzież seraficka, do której zwracacie się z apelem. Jej serce goreje misyjnym zapałem i dużo jest tak wśród nas piskląt-kolegiastów, jak też i wśród Braci-kleryków, już dojrzewających do pracy w winnicy Pańskiej, takich, którzy tylko czekamy, kiedy się ziścić będzie mogła owa upragniona chwila, i będziemy mogli stanąć przy Was w jednym karnym, misyjnym szeregu...

Ale, niestety, czasem się zdarza, że świat ułudny ziębi ten zapał. Więc dziś zanosimy do Was, OO. Misjonarze, prośbę szczerą i gorącą, byście i Wy o nas również pamiętali w Swych modłach do Boga. Proście Pana Zastępów o stałe i gorące powołania kapłańskie dla nas, o siłę i wytrwanie. Przed nami jeszcze droga daleka. Choć serce rwie się za słodkim wezwaniem: „Pójdź za mną”, to jednak nieraz przyjdzie stoczyć walkę ze sobą z bliskimi, ze światem, by duszę i serce zachować Pogu. Droga daleka, lecz z Bożą pomocą ufamy, iż dojdziem szczęśliwie do kresu. A wówczas, kiedy już wolno nam będzie wziąć w nasze ręce kielich Krwi Chrystusowej, z płomiennym zapałem udamy się na misyjne pola, by wspólnie z Wami siać ziarno Chrystusowej wiary i wzmocnić Wasze szeregi, N. OO. Misjonarze!

Do widzenia wkrótce na jednym szafcu!!!  
*Eugeniusz Kaparnik*  
 prez. Kółka Mis. w Kolegium.

**Obok — ci, którzy rozpoczęli studia w Kolegium — w drodze do celu.**

### Jak sobie wyobrażam mą największą pracę w przyszłości

Lata dziesięć spędziłem pod opieką Rodziców w swej rodzinnej wiosce w Wozuczynie. Tam też pobierałem początkowe nauki. Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, już wtedy miałem myśl zostania księdzem. Lubiłem patrzeć na księdza, lubiłem również słuchać jak śpiewa Mszę św., jak mówi kazanie i w ogóle przypatrywać się jego czynnościom. Kiedy jeszcze nic nie wiedziałem o zakonnikach, miałem wielką ochotę zostać księdzem świeckim, lecz skoro się dowiedziałem, że są także księża w kapturach i przepasani białym paskiem, a jeszcze więcej — gdy zobaczyłem zakonnika głoszącego kazanie, uczułem w sobie niepohamowaną moc zostania zakon-

nikiem. Rodzice widząc to u mnie wystali mnie do Radechnicy. Tu, w gimnazjum, pod opieką OO. Bernardynów kształcę się dalej, rozniecając żarzącą się już od lat najmłodszych iskrę powołania zakonnego.

Skończywszy cztery klasy gimnazjum, będę prosił N. O. Prowincjała o przyjęcie mnie do Zakonu. Po ukończeniu nowicjatu i liceum zdam maturę i pojedę na studia misjologiczne do Włoch. Nieograniczone i tak długo oczekiwane szczęście napełni moje serce, kiedy biskup udzieli mi władzy kapłańskiej. Już jako kapłan-bernardyn opuścę drogi i miły kraj rodzinny. Opuścę bliskich i krewnych, u których zapewne przy pożegnaniu będzie panował melancholijny smutek, a pewnie także jak krople wody spłyną po twarzy przyezroczone łzy. Będę żegnany przez księży, którzy będą radzi, że tak



## Na skalistej pustyni

Błękitna, niby haber, kopuła niebios wsparta o wierzchołki odległych wzgórz zwiśla pogodnie nad skalistą pustynią. Tarcza słoneczna podobna do metalowej kuli rozgrzanej do białości toczyła się wolno po lazurowym nieboskłonie i na spieczonych skałach lała z góry potokiem żaru i ognia. Nikt o tej porze nie śmiał pokazać się na skalistej pustyni. Zazwyczaj przeraźliwa pustka i martwość głucha tu panowały. Wśród ogromnych głazów nie powiewał ani wietrzyk pogodny, ani też roślina nie wydała pączków ni również zwierzę się pokazało. Cisza okropna, głucha, grobowa, czy to w dzień czy w noc ze wszystkich stron wycierała. Jeno czasem burza się przewałała tchnąca śmiercią, zniszczeniem, ruiną. I wichry wówczas szatańskim się uśmiechem odzywały. Nic teżdziwnego, że i skały się nawet zdziwiły, skoro ujrzały wielbłąda jednogarbnego w ów dzień, kiedy niebo było bez chmur a słońce prażyło niemiłosiernie. Na wielbłądzie spoczywał namiocik rozpięty — a w nim chustą ocierał kroplisty pot misjonarz strudzony. Jasnymi, zmęczonymi oczyma, wodził długo po horyzoncie badać, czy przypadkowo nie zmylił drogi. Cóż znowu! Ojciec Leonard wie najlepiej, że dobrze jedzie. Jeszcze kilka godzin jazdy i przed oczyma jego rozłoży się urocza oaza. Wówczas rozpocznie przemawiać do katechumenów o Najlepszym, Najsprawiedliwszym, Najlitościwszym Bogu. Na myśl o tym zajaśniały modre oczy Ojca Leonarda. Droga była męcząca i wyboista. Ne po raz pierwszy zapuszczał się O. Leonard w skały i pustynne głazy. Hej, nie po raz pierwszy ani też drugi. Od dawna już wędruje po pustynnych przestrzeniach, szukając dusz dla Dawcy łask wszelkich. Wówczas był młody, pełen zapału i sił. Nad jego czołem zapalił się płomień niecnej światłości i duszę pożerał.

Pamięta... Oto widzi jak na jawie tę chwilę, kiedy to okręt przybił do brzegu nieznanego afrykańskiej miłośnicy i pozostawił go na obcej ziemi, wśród obcych ludzi.

Pamięta ile od tego czasu się nacierpiął. Od tam zaczęły się trudy i znoje, usilna praca na

się poświęciłem. Już po pożegnaniu wsiadę do pociągu i będę jeszcze oknem patrzył na nienawny z oczu kraj rodzinny...

Po długiej i znoej podróży stanę nareszcie na Sachalinie i odetchnę japońskim powietrzem.

Tam po przywitaniu się z Ojcami pójdę do kościoła, aby podziękować Panu Bogu za szczęśliwą podróż. Gdy oswoję się trochę z tamtejszym krajobrazem, zacznę się uczyć języka japońskiego. Będzie to zapewne trwać długo, bo wiem już jak trudno uczyć się obcego języka. Gdy pokonam te trudności, stanie przede mną najtrudniejsza praca. Trzeba będzie teraz zakasać rekawy do uprawy tak żywej — a jednak zachwaszczanej roli Bożej.

Trudno to będzie szło, bo poganie nie zawsze słuchają słowa Bożego i nie chcą się nawrócić i stać się zbożem, które przynosi plon stokratny. Ale może Pan Jezus dopomoże w pracy żmudnej i przyciągnie pogan do wiary prawdziwej.

Piotrowski Marian  
ucz. kl. II. kol.

misyjnym polu. A praca ta ciężka i żmudna, wymagająca wielkiego wysiłku i poświęcenia, domagająca się zwalczania tęsknoty za ojczystym krajem.

Ojczyzna!... Na sam dźwięk tego słowa dusza się zrywa do lotu i orlich skrzydeł pragnie pożyć, by do rodzinnych łąk zalecieć. A oczy, oczy stęknione widoku pól, wiosek i łąk rozległych łzami zachodzą. A serce skowycze z bólu i płaczu. A jednak, mimo wszelkich przeszkód, jakże miłą jest praca misyjna. Tu uśmiech błogi zakwitł na ustach O. Leonarda. Uśmiechał się, bo jakże się nie miał uśmiechać, gdy ona przyniosła mu radość i ukojenie, spokój i wesele ducha. W niej znalazł zadowolenie i szczęście. Wzniósł więc oczy ku górze, wystął do Stwórcy hymn dziękczynny i wyszeptał cicho: „O Królestwo Twoje błagam Cię, Panie, w pokorze...”

Wielbłąd dalej kroczył poważnie. Na pustyni cisza jak dawniej tak i teraz panowała. I nic nie było słychać tylko głazy i skały w głuchej ciszy szemrały poważnie i majestatycznie.

O Królestwo Twoje błagamy Cię, Panie, w pokorze...”

Eugeniusz Kaparnik  
ucz. kl. IV. kol.

## B a l

Państwo Stawińscy urządzili u siebie tradycyjną zabawę w karnawale. Zebrało się na niej liczne towarzystwo złożone przeważnie ze sfery inteligencji, w której państwo gospodarze niepoślednie zajmowali miejsce.

Po suto i z wielkim smakiem urządzonym przyjęciu goście przeszli się do rześkiego oświetlonego i stylowo urządzonego salonu.

Jak w mrówczym ulu zaczęły się żywe, pełne śmiechu i beztroski rozmowy. Tematem ich były przede wszystkim ostatnie imprezy, herbatki i kolacje towarzyskie, w czasie których nawiązywały się nowe węzły przyjaźni, na widownię miejscowego życia klubowego występowały nowi ludzie czasem już żonaci a inni znów jako kandydaci do hymenu małżeńskiego. Ci ostatni przede wszystkim byli przedmiotem pilnie badanym przez przenikliwe oczy matek, a adorowani przez ich córki.

Na osobnym miejscu zebrał się panowie rozprawiając o polityce i już z przyzwyczajenia narzekając na dzisiejsze czasy, a dalej w cieniu smukłej palmy młode towarzystwo żywo omawiało ostatnio wystawioną sztukę.

Śmiech zakwitł na ustach obecnych — wszystkich ogarnęła beztroska radość i wesele — chciało bodaj na chwilę zapomnieć o szarej i czasem ciężkiej rzeczywistości.

Jeden tylko Oleś — student pierwszego roku prawa — nie podzielał tej ogólnej radości. Prawie samotny siedział w kącie w pobliżu fortepianu i na pozór bezmyślnym wzrokiem wpatrywał się w ożywione towarzystwo. Nikt tego oczywiście nie zauważył. Obserwowała go tylko obecna tam jego matka.

Wtém nagle ktoś zaproponował tańce. Wtedy wszyscy, jakby sobie przypomnieli Lesia, tłumnie



się zwracając z prośbą o kilka tanecznych akompaniamentów — jako do znanego w towarzystwie wirtuoza gry na fortepianie.

Oleś jakby zbudzony ze swego myślowego snu, bez ociągania się, lecz z pewnego rodzaju zachęciem się zasiadł do instrumentu.

Tymczasem zaczęły się formować pary coraz to głośniejsz, choć zrazu grzecznie domagające się muzyki tanecznej.

Leś próbuje grać kawałki, wywołując z pamięci znane sobie takty, a jednak nie może stworzyć harmonii; palce odmawiają mu posłuszeństwa, nie chcą iść za partyturą, a do głowy ciśnie mu się jakaś inna zupełnie melodia i przemocą niejako go zmusza, aby ją przelał na klawisze fortepianu. Robi wszystko możliwe, by nie poddać się temu wrażeniu, pragnie zapanować nad sobą — wszak czekają goście, którzy go prosili, aby im przygrywał do tańca — lecz na próżno, mimo te wysiłki i zmagania się ze sobą czuje, że owładnęła nim — jego myślą, wyobraźnią i całą jego jaźnią jakaś inna nieznana jemu samemu i otoczeniu muzyka — muzyka biedy, nędzy, bólu i rozpacz...

Czuje, że w nim coś się kotłuje, szaleje niczym huragan, że jego myśli są podobne do grzmotów, błyskawic, czy piorunów, które koniecznie muszą się wyładować. Oprzeć się temu stanowi natchnienia i wizji niepodobna, więc już nie myśląc o gościach i o walcach — uderza w klawisze fortepianu, zapomina zupełnie gdzie się znajduje i co się z nim dzieje — twarz jego staje się biała, włosy zjeżone, a oczy i słuch gdzieś utkwione w zaświatach...

I zaczęły płynąć tony, wybuchać akordy i krzyżować się melodie, ale melodie tak dziwne, tak gwałtowne, tak potężne, tak przejmujące i tak przeraźliwe w swej mowie, że wszystkie tańczące pary stanęły i wzrok swój oraz słuch zatopiły w grającym.

Początkowo struny zaczęły wydawać głosy podobne do jęku, płaczu i szlochania. Potem dźwięki zdawały ię kłócić ze sobą, jak przemawiają do siebie ludzie rozgniewani — to znów szumiały i wydawały groźny pomruk, jak bur w czasie nadchodzącej burzy — urywały się znowu, syczały jak żmije — gwizdały jak wiatr je-sienny, hulający na pustynnym polu — grzmiały, kotłowały się i przewalały się jedne za drugimi, jak toczą się spienione fale morskie miotane roz-szalałym wichrem i w pewnym momencie nagle umilkły, by po chwili odezwać się tak jak płaczący człowiek, którym targa żal i niezasłużone a całą istotę jego pożerające cierpienie.

Groza i przerażenie wionęły po salonie. Wszyscy byli jak osłupieli, coś zaparło im dech w płucach, nie mogli się otrząsnąć z tego dziwnego wrażenia, bali się do siebie przemówić, bo w uszach brzmiała im ustawicznie dzika, złowroga, targająca bez miłosierdzia nerwy i mrożąca krew w żyłach muzyka.

A Oleś już po chwili przestał grać i nieruchomy z głową w dłoniach siedział w pochylonej postawie nad drżącym jeszcze fortepianem.

Wtem przystąpiła do niego matka, biała z przerażenia zdolna ledwo wyszeptać:

— Lesiu, co ci jest? Coś ty najlepszego zrobił?

Oleś zrazu nie słyszał pytania matki i dopiero po chwili, jakby zbudzony z letargu, na natarczywe i niespokojne zapytanie matki odpowiedział:

— Mamo! Nie mogłem... tam suteryny... bieda, nędza, skrajna nędza!...

Matce nie trzeba było więcej — zrozumiała i odeszła. Wszystko w tym słowie „nie mogłem” odgadnęła, całą walkę psychiczną swego syna zrozumiała, jak i tę dziwną jego grę na fortepianie.

Teraz już i reszta gości ochłoneła z tego niezrozumiałego stanu, jaki ją ogarnął pod wpływem

Mgr Długosz Władysław

### Wyżeł, jego pan i weterynarz

*Capnął w mordę ogon gruby,  
zmiął bok w węzowe przeguby  
i jak młyńce bąka prędko  
szusta szalone wykrętki.*

*Kłapiąc kłami z pyska zionie  
sąd swój o własnym ogonie:*

*— Taki długi dziś mi na co?*

*Sterczy na grzbiecie ludaco*

*i do figlów już nie służy!*

*Jestem wyżeł wielki, duży,*

*elegancki i dojrzały,*

*nie jak byle sowizdrzały,*

*więc niech uschnie, niech przepadnie,*

*kiedy z nim mi nie jest ładnie!*

*Usiada teraz na zadzie*

*i skomlenie w sufit kładzie:*

*— U-u-u, gdyby tak weterynarz!*

*Ty, co ogony uczinasz,*

*zjaw się, zjaw się pożądanym,*

*ogon utnij oplotany!*

*Wtem .. brum, rumor w przedpokoju...*

*Pra-a-a! Drzwi skrzypią... W białym stroju,*

*w okularach, z brodą długą —*

*wkracza z panem weterynarz!...*

*Pan mu rzecze:*

*— Ot usług,*

*ty, co ogony uczinasz,*

*służ swemu przyjacielowi,*

*ogon utnij memu psow ..*

*Ależ, ależ, duchem zrobię,*

*psa ci nożykiem ozdobię —*

*mówi temten — i w minucie*

*pies czuje straszne ukłucie,*

*a gdy porwie się do góry,*

*widzi: ogon na kształt rury*

*odkrojony na podłodze!*

*Pomyj! pomyj — wyje srodze!*

*A-u-u! u krzyżów miast ogona*

*z watu bandaża i leków*

*ma coś w formie kapiszona!*

*Dostaje na pysk wypieków.*

\* \* \*

*Uptnęło dwa miesiące...*

*Kciuk ogona zagojony...*

*W niebie skrzy się złote słońce,*

*wyżeł w po' u rozciągniony;*

*duma o swoim ogonie:*

*— Niestety, gdy wrony gonię,*

*nie pomaga ogon w pędzie,*

*bieda mi bez niego wszędzie!*

*Dawniej wił się w śmigle stery,*

*a dziś muchy z harmiderem*

*leczą na grzbiet, a ja biedny*

*nie uderzę ani jednej!*

*Hau! skarga mi rwie się z tona:*

*„Nie na raz trza psu ogona!...”*

Obowiązkiem Twoim, Szanowny Czytelniku, jest popieranie prasy katolickiej w Polsce!!!  
A spełnisz swe zadanie zjednując nam nowych prenumeratów składających wolne datki na Głos!



dopiero co przeżytej muzyki Lesia. Wnet koło matki Lesia zebrała się grupa pań pytając o przyczynę tego dziwnego zachowania się powszechnie lubianego młodzieńca — tając w głębi duszy okropne przypuszczenie, czy on czasem nie dostał małego obłądu, czy jego władze umysłowe nie zostały chwilowo zakłócone...

Matka spostrzegła się natychmiast, że musi obecnym dać objaśnienie, aby ich uspokoić, więc panując nad sytuacją, zaczęła następujące opowiadanie:

Leś przedwczoraj był u swego kolegi i w tej kamienicy, gdzie ten mieszka, natknął się na suteryny. Ciekawiło go, jak w nich żyją ludzie, więc zeszedł do nich, aby się przekonać, czy to prawda, co nieraz słyszał o okropnościach panujących w tych piwnicznych mieszkaniach. To, co tam zobaczył, przechodziło jego wyobraźnię i wszelkie pojęcie.

U wejścia uderzył go przede wszystkim straszny zaduch, który o mało nie przyprawił go o omdlenie. W mieszkaniu było zimno nie do wytrzymania — a w półmroku zauważył w kącie kilkoro dzieci prawie nagich, szlochających i wołających płaczkliwie: mamó, zimno! mamó, jeść!

W drugim kącie na tapczanie leżał chory ojciec — bezrobotny — złorzecząc Pogu i ludziom, przeklinał na cały świat. Matka kręciła się jak obłąkana po izbie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca — dręczyły ją i o szłał przyprawiały wołania dzieci, nieznośny głód i przekleństwo męża.

Oleś nie mógł długo patrzeć na tę najskrajniejszą nędzę ludzką. Pieniądze, jakie miał przy sobie, dał biednej matce i obietnicą zajęcia się rodziną i zdobyciem pracy dla męża starał się wzniecić promyk nadziei w tych ludziach. Ale obraz tej bezkrajowej nędzy ludzkiej poszedł za nim jak z mora i prawdopodobnie teraz w tej właśnie chwili znalazł wyraz w tej muzyce bólu, cierpienia i bezkresnej rozpacz.

Gdy państwo gospodarze przystali zaproszenie na bal — to wymawiał się przede mną, że nie będzie mógł tutaj przyjść, bo czuje się podniecony i że ustawicznie stoi mu przed oczyma scena, której był wczoraj świadkiem

— Po co tam iść — mówił do mnie — skoro takie zabawy są poniekąd krzywdą tych najbardziej upośledzonych mieszkańców piwnic naszych wielkomijskich kamienic.

Przecież za te pieniądze, które wydaje się na rozrywki i przyjemności, można by otrzeć łzy wielu nieszczęśliwym!

Dopiero, gdy go zapewniłam, że będę pamiętała o ubogich, zgodził się przyjść tutaj.

Przyszedł, ale widziałam od początku, że czuł się niespokojnym i dlatego zaproponowałam mu, aby zagrał na fortepianie, spodziewając się, że muzyka ukoji go i myśli zwróci w innym kierunku. Tymczasem wbrew memu oczekiwaniu stało się przeciwnie, bo zamiast sentymentalnego walc-bostona — wygrał, to czym tknęło jego serce!...

\* \* \*

Zabawa już nie szła. Goście powoli zaczęli opuszczać salon państwa Stawińskich, który gozrał dalej blaskiem elektrycznych kandelabrow.

Czy wielu jednak spośród zaproszonych naprawdę zrozumiało ten ból młodego serca? Czy po tym wielu zajrzało przynajmniej do podobnych może suteryn i oficyn swych własnych domów?

Budziśław  
b. kolegiasta.

### Ku potędze!...

(Rozważania w rocznicę zaślubin Polski z morzem)

Naród nasz często zrywał się, by przeciąć kajdany, ale musiał długo czekać, wiele wycierpieć, zanim nadeszła chwila walki o wolność. Przyczyny upadku i własne wady poznaliśmy w całej ich groźbie i ogromie. Jednym naszym brakiem, za który nieraz pokutowaliśmy to brak umiłowania morza, nie docenianie wielkich korzyści, jakie płyną z jego posiadania. Mieliliśmy brzeg morski, długości tysiąca km, ale ani jednego statku, czy okrętu; zboże i inne polskie płody płynęły pod obcą banderą. Tak, przeszłość nas nauczyła, więc zło zaczęliśmy rychło naprawiać. Już w czasie niewoli mamy wielkich podróżników i miłośników „krajów pod słońcem”. Kiedy zaś naród nasz zrywał pęta niewoli a rozbiornicy zostali upokorzni, umiał upomnieć się o swą własność. Chociaż nie byliśmy i nie jesteśmy państwem światowym, to jednak narodem światowym jesteśmy, narodem potężnym, narodem bohaterów — których imiona zapisane są złotymi zgłoskami na kartach historii świata. Narodem, który nam się odwdzieczył w chwili nam potrzebnej, był naród amerykański. Tak, Ameryka naszemu powstającemu państwu dopomogła uzyskać dostęp do morza.

Morze otrzymaliśmy — to prawda; ale czy tak rozległe, bogate, z miastami, portami, flotą?

Wspomnij tę chwilę w historii... Mroźny luty 1920 roku. Wojska gen. Hallera są w Pucku. Po tyłowiekowej tułaczce znowu łopocą polskie sztandary nad Bałtykiem. Każdemu zdawało się, że to nie morze, lecz wielkie jezioro; na brzegu trzcina, szuwały, a mróz ubrał go w płaszczyk lodu. Nad brzegiem długości kilkudziesięciu km małe wioski z białymi domkami i... nic więcej.

Naprawdę ból ścisnął serca w błękitnych mundurach. Zawód nieoczekiwany; wielkie kłębiące, ryczące złowrogo morze, na brzegu wielkie miasto, port, polskie okręty, zgrzyt dźwigów, ryk syren, gwizd lokomotyw i życie były ich marzeniem. Toteż mieli rację starsi oficerowie przy boku Błękitnego Wodza, kiedy zaprojektowali marsz na Gdańsk, aby w tym nam przyznanym oknie na świat, zadudniły bruki od jazdy polskich szwoleżerów. Tak się jednak nie stało, bo silniejszy od okopów, zasieków, fortyfikacji, stanął im na drodze traktat wersalski; dzieło upokorzenia plemienia germańskiego i nienawiści Anglii ku Polakom. Może by nie miała Ojczyzna nasza tylu kłopotów z tym niepoprawnym dzieckiem jakim jest Gdańsk... a może los dyktowałby co innego i rychlejszy odwet?

Postanowiono prawa nie łamać. Na drugi dzień, 10 lutego, wielki ruch w Pucku. Rzesze Kaszubów płyną nad morze, każdy ciekawy zobaczyć



błękitnych żołnierzy, ich wodza i co on powie. Po doniosłych słowach generała J. Hallera, orkiestra gra Mazurka Dąbr. a General zdejmuje pierścień i rzuca go w fale spokojne, ciche, a promienie wschodzącego słońca rozlały się na kawałkach pływającego lodu, grając tony przymierza i pobudkę do pracy. Czy nie czekała nas wielka praca pionierska, plany ogromne, których część najtrudniejsza została wykonaną?

Dziś w całej pełni marzenia żołnierzy błękitnych ziściły się. Wspaniały port, handel na własnych statkach, flota wojenna, biało-czerwoną banderę widziały już wszystkie porty świata. Ale czy to wystarczy? Chcemy istnieć, chcemy żyć, dążymy do dobrobytu, do potęgi i nie tylko narodem światowym, ale państwem światowym być musimy! A jeśli to osiągnąć chcemy, musimy posiadać silną flotę wojenną, bo jak mówi Mussolini, wódz narodu włoskiego: „**marynarka wojenna określa hierarchię państwa i wartość narodu w czasie pokoju**“. Nie chcemy po raz drugi upaść, nie chcemy być znowu niewolnikami. Jak długo na świecie istnieje wojna, tak długo żyje sztuka wojenna morska. Historia nie mówi, aby państwo posiadające silną armię na morzu upadło. Natomiast te, które ją zaniedbały, wojny często przegrywały, bo nie miały w niej armii broniącej należycie granic i c. y. lily się do upadku.

Twórca wielkiej niemieckiej floty wojennej Helmuth von Moltke krzychał: „Skończyć z bezsilnością na morzu, albowiem od stworzenia floty zależą losy państwa i narodu“. Ona bardzo często decyduje o wygranej, wchodzi w zakres całości operacyjnych i wraz z wojskiem lądowym broni całego kraju. Czasem jest narzędziem decydującym o zwycięstwie, a często je przyspiesza. Historia nie zna przykładu, aby flota kanonierek, czy torpedowców a nawet łodzi podwodnych zwyciężyła flotę, której rdzeń stanowiły okręty liniowe. Tak np. początkowe sukcesy niemieckich łodzi podwodnych w czasie wielkiej wojny należy przypisywać nie tylko zaskoczeniu, ale także temu, że za łodziami podwodnymi stała niemiecka „Hochseeflotte“ z jej potężnym aparatem militarnym. Gdyby nie „Hochseeflotte“ to łodzie podwodne zostałyby spędzone z powierzchni wód i musiałyby przejść do roli biernej „obrony wybrzeży“. Operacyjna defenzywa na morzu nie istnieje, bowiem gdy przechodzimy do pasywnej obrony wybrzeży, zrzekamy się morza i wszystkich płynących stąd korzyści, oddając inicjatywę w ręce przeciwnika. Zatem jedynym ratunkiem jest tu zawczasu rozpoczęta rozbudowa pełnowartościowej siły zbrojnej na morzu, przez co należy rozumieć nie tylko wielkość ilościową floty, ale to, by była silną taktycznie, tzn. że winna rozporządzać wszystkimi posiadanymi przez

O. EMIL SEROKA

## CZASY Św. FRANCISZKA Z ASYŻU

### 6. Modlitwa św. Franciszka

Jedną z odznak miłości Boga jest dobra modlitwa. Ona bowiem jest początkiem i końcem wszelkiego dobra; ona rozjaśnia umysł i wzmacnia serce; dzięki niej tylko dusza ludzka odróżnia dobro od zła i opowiada się po stronie dobra. Czym więcej ktoś się modli, tym bardziej miłuje Boga, a czym więcej miłuje swojego Stwórcę, tym lepszą będzie jego modlitwa. Dlatego też wielki miłośnik Najwyższego, św. Franciszek, jest również wzniosłym przykładem dobrej modlitwy. Św. Franciszek modli się przez całe swoje życie. Modli się w kościółku św. Damiana, Porcjunkuli, Grecio, Pioggio Bustone i gdzie indziej; z modlitwą na ustach przebiega ulice Asyżu, Spoleta, Perugii; rozmawia ze Stwórcą za ciemną kratą więzienia; szepcze najczulej na łożu boleści w Asyżu i Sienie; często oddala się od swych braci i synów na wyspę jeziora Trazymeńskiego lub ukochaną górę Alwernię, by tam z dala od świata, w poście i umartwieniu modlitwą miłować — a miłością poznawać Najwyższego. I chociaż modlitwa jest cnotą, której się wstydzić nie potrzeba — to jednak Franciszek ukrywa ją przed oczyma ludzi i broni przed ich ciekawością. Stąd to kładąc się wieczorem do łóżka nie gardzi hałasem i przesuwaniem, by później wstać z postania cichutko i długo rozmawiać z Panem swojej duszy wtedy, kiedy inni mniemają, że usnął snem twardym. Dlatego też, kiedy wraca z modlitwy z duszą skąpaną w zaświatach, rozpromieniony, chce opano-

wać siebie, chce ukryć zmieszanie, chce mówić spokojnie, chce pracować jak inni. I nie tylko on sam broni się i chroni przed ciekawością ludzi, ale i Pan jego serca staje w obronie spokojnej, kornej, nikomu nieznannej modlitwy Franciszkowej, bo bez względu nawet na charakter episkopalny zsyła paraliż na biskupa Asyżu dlatego tylko, iż pozwolił sobie podglądać Franciszka w modlitwie ekstazy. A przecież ciekawość biskupa asyjskiego, to ciekawość wszystkich wieków i całej ludzkości; to przecież ciekawość nas samych, którzybyśmy chcieli odkryć choć rąbek tej tajemnej łączności, jaka zachodziła pomiędzy Franciszkiem a Bogiem; przecież chcielibyśmy poznać przyczynę tej pogody ducha Franciszkowego, której nie znały ani obowiązki własne, ani miłość stworzeń, ani cierpienie, ani wesele. Ale cóż z tego? Franciszek krył się ze swą modlitwą, Bóg go w tym wspomagał, a traktatów specjalnych o modlitwie Franciszek nie napisał. Zresztą, chociażby chciał napisać, nie mógłby tego zrobić, bo wydawałoby mu się, że przez to poniża miłość Boga i modlitwę samą, że za bezcen oddaje największe bogactwo, że wyrządza krzywdę swemu Najwyższemu. Franciszek w modlitwie kocha Boga i wczuwa się w Niego, więc nie myśli, nie rozumuje, ale jednoczy się i zlewa się w jedno ze Stwórcą. On czyni, on pracuje, ale pisać nie może. Byli tacy wielcy święci, którzy pisali, ale oni byli ludźmi odmiennego charakteru. Skądże więc wiemy, jaką była modlitwa Franciszkowa? — Oto kilka przepisów, kilka przestróg lub zachęt i nieliczne modlitwy, jakie po Ojcu w spuściźnie synom zostały, dają nam pewne blade światło dla wyswie-



przeciwnika jednostkami taktycznymi. Przedstawicielstwo Polski w Genewie zastrzegło dla Polski minimalną cyfrę tonażu nam potrzebnego przeciw czemu nikt nie protestował. Musimy tedy przystąpić do rozbudowy polskiej marynarki wojennej. W tym to celu założono Fundusz Obrony Morskiej, na który do grudnia 1937 r. zebrano 8,765.000 zł. Kupiono za nią łódź podwodną miano ją nazwać im. Marszałka Piłsudskiego — a obecnie zdecydowano, że będzie nosiła imię „Orzeł” kosztuje 8,200.000. Zaś 500,000 zł wyasygnowano już na budowę morkiego ścigacza torpedowego. Takich ścigaczy torpedowych decyzją Zarządu głównego Ligi Morkiej i Kolonialnej zostanie wybudowanych ośmnaście, tzn. że każdy okrąg L.M.K. w ciągu najbliższych lat ma ufundować po jednym ścigaczu. To pochłonie dużo pieniędzy, lecz nie powinniśmy się tym przerażać, że „nie podołamy w wyścigu zbrojeń sąsiadom”, ale rozumiejąc jak cenne jest dla kraju małe wybrzeże z jednym tylko portem, należy tym bardziej się zjednoczyć w pracy nad powiększeniem naszej siły na Bałtyku. A kiedy to osiągniemy, wtedy naprawdę wesoło będą bić o brzeg polskie fale i nie usłyszysz smętnej fujarki...

*Gencza Izydor*

prezes Szkolnego Koła LMK.

### † Śp. O. Aleksy Piotr Działkowski

Przyszedł na świat w cieniu prastarego klasztoru bernardyńskiego w Zbarażu i wychowywał się tu, mając przed oczyma szczątki zamku



Wiśniowieckich, owiane nimbem bohaterstwa i poświęcenia się bez granic. Duchy starych wojów - rycerzy, co swą pierśią zasłaniałi Ojczyznę i padli na szaniecach, zdawały się szeptać do młodej a wrażliwej duszy: „Gloria Dei et salus Reipublicae suprema lex”. Czuł

tlenia tajemnicy potężnej modlitwy Franciszkowej.

Franciszek kocha modlitwę Pańską, czyli „Ojczyzna nasz...”. On zna jej pochodzenie; on wie, że to słowa Chrystusowe i nigdy się nie godzi, by zostały zmienione, by Chrystus kapitulował przed „ja” człowieczym. Kiedy odmawia „Ojczyzna nasz”, czuje słodkość słów w ustach, serce jego rozpiesza wesele, a myśl ulata do nieba i woła do Stwórcy: „Ojczyzna... przyjdź Królestwo Twoje”. Modlitwę Pańską Franciszek powtarza ustawicznie, inaczej modlić się nie chce, nie może; żąda, by inni tą modlitwą Poga chwalili, a swym braciom laikom (nie mającym święceń kapłańskich) przepisuje, że, zamiast brewiarza, odmawiać będą aż 75 „Ojczyzna nasz” dziennie.

Franciszek kocha modlitwę liturgiczną. On wie, że modlitwa ta jest modlitwą całego Kościoła, że jest to zjednoczenie wszystkich dusz, a zarazem jest to chór Chrystusowi najmiłszy; on odczuwa i słyszy głos: „Gdzie dwu lub więcej modli się w imię moje, tam i ja jestem pomiędzy nimi”. Swym braciom kapłanom rozkazał odmawiać brewiarz — odprawiać służbę Pożą; chciał, by płynęła do nieba modlitwa wspólna — chóralna, jak na falach eteru płyną zgrane akordy pięknej kompozycji; chciał, by zachowano w całości ceremoniał i przepisy — a przecież nie ogranicza się li tylko do tego. On kocha modlitwę, ale nie łączy jej z jednym tylko miejscem, choćby to miał być nawet kościół; On modli się wszędzie: w grocie i na drodze, w lesie i na polu, w piękny dzień słoneczny i w płaczący czas deszczowy, pośród zieleni i białej pokrywy śnieżnej — Franciszek odmawia swoje modlitwy. Swym

sposobem modlitwy upodabnia się więcej do dawnych mieszkańców pustelni wschodnich, niż do przepisowego życia zakonów sobie współczesnych, ale i od pierwszych się różni, bo nie stroni od śpiewu płaszał i krzyku zwierząt, nie zatyka swych uszu, by głosu ich nie słyszeć, ale zaprasza wszechstworzenie całe, by złączonym, jednym głosem zaśpiewały Stwórcy hymn potężny, silny, czysty i piękny — Bogu tylko należny.

Franciszek modli się, ale o nic nie prosi, o nic nie błaga — on wychwala Boga i Bogu dziękuje. Nawet nie płacze, ale śpiewa jedną pieśń, jeden utwór, że Bóg istnieje i że jest mądrością, miłością, weselem, szczęściem, nagrodą. Od najwyższych chórów anielskich do najniższych stworzeń ziemskich, od korony świętych kościoła tryumfującego, do cierpień otchłani i czyścza, od dawnych ludzi wieku patriachalnego do najmniejszego noworodka Franciszek zaprasza wszystkich do wspólnego hymnu uwielbienia. A później?... później wzmaga się w swym śpiewie modlitewnym, potęguje głos i woła całym sercem, całą swą istotą: „Bóg jest dobry, tak dobry, jak nie i nikt inny; Bóg jest samym dobrem, wszelakim dobrem, najwyższym dobrem”, i powtarza to wszystkim, a powtarza często, jakby nie dowierzał, czy wszyscy go słyszeli, czy wszyscy mu wierzą, a kiedy spostrzeże już, iż niektórzy nie kochają Boga — płacze i krzykiem zrozpaczonego prawie serca woła: „Miłość nie jest kochaną, nie jest kochaną miłość”. Lecz chociaż znajduje się u niego ten krzyk bólu — chociaż rozważając mękę Pańską wyplakał sobie oczy, to przecież modlitwy jego pisane lub dyktowane są nacechowane je-



i delikatne serce Piotrusia głęboko i serdecznie przejęło się tą dewizą, testamentem, którą głosi każdy kurhan — mogiła jego rodzinnych stron. „Chwała Boża i dobro Ojczyzny — to była dewiza życiowa O. Aleksego.

Do gimnazjum chodził w Tarnopolu. Uczniem był pilnym i przykładnym. OO. Jezuiti, do których niemal codziennie biegał rano, by usłużyć do Mszy św., dawali mu nie dwuznacznie do zrozumienia, że radziby byli, gdyby wstąpił do nich... Ale nie, on nie mógł się sprzeniewierzyć swoim Ojcom w Zbarażu, którzy go ochrzcili i z których rąk przyjął pierwszą Komunię św. i wstąpił do OO. Bernardynów... Nowicjat, dalsze studia gimnazjalne, filozofia i teologia — ten długi szmat czasu i lat — były dla Ciesia (jak go koledzy nazywali) pochodem radości i wesela. Zdolności wrodzone i pilność nadzwyczajna sprawiły to, że zawsze znajdował się między pierwszymi. Przez ogół kleryków był poszukiwany i ceniony jako nadzwyczaj miły, usłużny i uczynny kompan. Wszelkie imprezy klerykowskie nie mogły się obejść bez niego. Przy tym wszystkim jednak nie zapominał nigdy o swoich obowiązkach duchownych.

W r. 1915 ukończył teologię i kiedy jeszcze luczwały armaty nad Dunajcem, otrzymał w Krakowie święcenia kapłańskie. Kraków też był też jego pierwszą placówką duszpasterską. Kiedy już tu zaskarbił sobie serca tych wszystkich, którzy go poznali — Władze Zakonne przenoszą go naprzód do Sambora a następnie do Lwowa. Tu jest wprost niezmordowany. Konfesjonał, ambona, szkoła, rozmaitego rodzaju organizacje społeczne, wyjazdy z rekolekcjami tak go pochłaniają, że dla siebie mało ma czasu. Cieszy się powszechną sympatią. Kierownik jednej ze szkół powszechnych, gdzie O. Aleksy był katechetą, chociaż socjalista i autor paszkwila na duchowieństwo, nie ma dla niego słów uznania. I tak było wszędzie i zawsze. O. Aleksy umiał sobie zjednać wszystkich; czy kto chciał czy nie — musiał mu serce oddać. — Kiedy został odebrany przez Zakon klasztor

dnym i tym samym w e s e l e m właściwym Franciszkowi. Franciszek umiał cierpieć z weselem, a jeśli czasem zasępiło się jego czoło a z oczu jego popłynęły rześiste łzy, to łkaniem zdawał egzamin przed Bogiem; łzami swymi okrywał niewdzięczność ludzką, a sercem bolał z Chrystusem cierpiącym. Franciszek płacząc modlił się za siebie i ludzi — cierpieniem zaś wielbił życie i śmierć Chrystusa. I chociaż znamy Franciszka, który wielbi, dziękuje i płacze — choć znamy wyniki jego doskonałej modlitwy, to przecież poznanie nasze pozostanie i nadal li tylko zewnętrznym. Jaką zaś była jego modlitwa wewnętrzna, jaką była jego rozmowa z Bogiem podczas postów i długich nieprzespanych nocy — pozostanie to nadal pod osłoną bezwzględnej samotności, odosobnień i nieprzeniknionych ciemności. Ale modlitwa ta nieznaną, przed nami zakrytą, była doskonalszą, jeżeli zważymy, że jej zapłatą była stygmatyzacja.

(Na podstawie i według dyspozycji „Il Francescanesimo” di P.A. Gemelli i „Fioretti” di S. Francesco XI).

w Dubnie i trzeba było na gwałt kogoś posłać tam na prefekta szkół powszechnych i gimnazjum — pojechał tam O. Aleksy. Ale Lwów nie mógł się z tym pogodzić, że wzięto mu jego niezmordowanego i kochanego Ojca i dopóty szturmowano, aż O. Aleksy wrócił doń z powrotem. Nie na długo jednak. W r. 1924 na kapitule został O. Aleksy mianowany gwardianem w Radeczniczy i nie pomogły już delegacje, prośby, interwencje.

Nowa placówka zupełnie pochłonęła swego przełożonego. Mimo kilkuletnich i usilnych zabiegów O. Metodego i O. Szymona, którzy tu byli przełożonymi przed tym, dużo, ogromnie dużo trzeba tu było włożyć jeszcze pracy i wysiłków, by tę sławną niegdyś placówkę doprowadzić do pierwotnego stanu. Kto inny może by się był przelał, ale nie O. Aleksy. Dokańcza odbudowę kościoła z zewnątrz, maluje go wewnątrz, sprawia 3 ołtarze, zasila zakrystię, sprawia sztandary, feretrony, stawia na nogach gospodarke klasztorną. To wszystko nie przeszkadza mu w tym, że niemal co niedziela jest na ambonie, czy przemawia od ołtarza — prowadzi tercjarstwo, organizuje i prowadzi wzorowo Bractwo Żywego Różańca, wyjeżdża na rekolekcje, misje, wizytuje III Zakon, głosi wszędzie kazania na odpustach... Wierzyć się nie chciało, że w tym człowieku szczupłym, zasuszonym, szerniałym może się znaleźć tyle sił i takich niespożytych zasób energii. Tak było przez 9 lat w Radeczniczy.

Ojcowie zakonni zebrani na kapitule w 1933 r. oceniając te jego zasługi i poświęcenie się dla chwały Bożej, wybrali go na Definitora Prowincji. Zdawało się, że sobie będzie mógł odrobinę odpocząć, zwłaszcza że i zdrowie miał grubo nadzarpnięte. Tak się jednak nie stało. W roku tym oddał Zakonowi J.E. Najprz. Ks. Arcybiskup Nowowiejski klasztor wraz z parafią w Skępem. Kiedy się zaczęło rozglądać, ktoby najlepiej mógł się tam nadawać na przełożonego — znów wybór padł na O. Aleksego. Pojechał bez szemrania. I znów to samo się zaczęło, co w Radeczniczy. Praca bez końca, bez wypoczynku, praca żmudna, ciężka, wyczerpująca. Skoro jednak tylko klasztor ten został jako tako uporządkowany i można było odrobinę odetchnąć, O. Aleksy zostaje przeniesiony na ogromnie odpowiedzialny posterunek zakonny — na kustosza do Kalwarii Zebrzydowskiej. I znów nowe trudy. Przyszedł w roku ubiegłym sławny jubileusz 50-lecia koronacji M. Pożej. Misje, setki księży, setki tysięcy pątników... O wszystkim myśl, o wszystkim pamiętaj, podwajaj się, potrajaj. Przy tym przejścia domowe: w ciągu roku zamknij oczy trzem współbraciom zakonnym..., wychowaj zastępy młodych kandydatów na braci, kręć się, odpieraj nieusprawiedliwione i niezasadnione ataki rozmaitych jednostek i całych instytucyj urzędowych... Oto przyjemności tego, zdawałoby się ogromnie pozazdrośczenia godnego stanowiska Kustosza Kalwaryjskiego...

Targały się więc nerwy, zdrowie coraz bardziej się pogarszało, słabło serce O. Aleksego, aż w końcu całkiem bić przestało dnia 17 stycznia br.

Pogrzeb miał wspaniały...

Spoczął wierny sługa Marii u stóp Jej Cudownego Obrazu, bo za życia nie znał co jest odpoczynek...



Kolegium straciło w nim Wielkiego Przyjaciela. Przez cały przeciąg pobytu w Radecznicy — oprócz tysiąca zajęć w klasztorze — był prefektem-katechetą Kolegium i członkiem Zarządu tej instytucji. I przez uczniów i przez Grono Profesorów był nadzwyczaj lubiany. O tak, jak wszędzie, tak i tu „czynił sobie przyjaciół” przez mamotę serca swego... Serce miał bowiem ze złota i dzielił się nim szczerze ze wszystkimi.

Niech mu Pan Bóg da za wszystko wieczny odpoczynek!

O. Jan Duklan Michnar.

**Statystyka Zakonu Braci Mniejszych.** (OO. Bernardynów, Reformatów i Franciszkanów śląskich). W urzędowym piśmie periodycznym Zakonu Braci Mniejszych pt.: *Acta Ordinis Fratrum Minorum* na miesiąc styczeń podano cyfry statystyczne Zakonu Franciszkańskiego. Z powyższej statystyki wynika, że Zakon Braci Mniejszych liczy 104 prowincje zakonne z 2089 domami — z czego 951 konwentów a 1123 rezydencje. Zakon ma 25464 członków, w tym 11849 Ojców, 4798 kleryków, 5477 braci laików, 1.114 kleryków nowicjuszy, 406 braci laików nowicjuszy i 1820 braci oblatów. Na misjach pracuje 2753 osób — w tym 2145 ojców i 608 braci laików. Prócz tego w Kolegiach serafickich kształcą się 8.952 uczni. Zakonowi franciszkańskiemu podlega 616 domów z 13.667 zakonnicami drugiego zakonu franciszkańskiego. Zależy także 119 domów z 1.198 członkami III Zak. regularnego niewiast Zakon franciszkański prowadzi jeszcze 13.638 kongregacji terejarskich z 2.076.000 członkami.

**Statystyka Prowincji OO. Bernardynów w Polsce.** Klasztorów 25, w tym 14 konwentów i 11 rezydencji Zakonników 329 — z czego 120 ojców, 74 kleryków, 78 braci, 15 kleryków-nowicjuszy, 10 braci nowicjuszy, 32 braci oblatów. W Kolegium Serafickim przebywa 143 koł. Od Prowincji Bernardyńskiej zależy jeden klasztor III zak. żeńskiego z 36 zakonnicami, jak też 587 kongregacji terejarskich z 61.600 terejarzami. Na misjach pracuje 6 ojców i brat.

## LWOWSKI KĄCIK.

Otwierając Kącik lwowski mogę śmiało i bez przesady powiedzieć, że klerykównice lwowskiej w tym roku przypomniały się „lepsze czasy”, w których obok intensywnej pracy naukowej żywo pulsowało życie studenckie w najlepszym tego słowa znaczeniu — bo przepełnione humorem i pogodą.

Oczywiście nie można się tu bawić w jakiegos dziejopisa, który budzi zamarte echa i precedza minione czasy przez mniej, lub więcej skomplikowany mechanizm własnego ujmowania tych rzeczy — ale warto sposobem reportażowo-kronikarskim zilustrować, jak się przedstawia to życie „prywatne”, tzn. niezwiązane z obowiązkami a wypełniające wolne chwile kleryków.

Zaczęło się właściwie od akademii ku czci bł. Jana Duns Szkota, największego geniusza nauki franciszkańskiej. Okolicznościowy referat wygłosił Fr Archanioł i to pod frapującym tytułem: „Ogół św. Tomasza, czy szczegół Duns Szkota ma pierwszeństwo w poznaniu?”. Potem przyszła kolej na akademię z okazji święta Patronki śpiwu i muzyki — św. Cecylii. Tym razem referentem był Fr Bogumił, który odczytał referat pt.: „Etyczne znaczenie muzyki i śpiwu”. Chórem na tych akademiach dyrygował P. Franciszek Ryling. Publiczność żywo oklaskiwała wykonawców.

To były wyczyny w domu, u siebie. Ale trzeba było urządzić coś i „dla Lwowa”. I tu zapewniwszy sobie współudział takich sław, jak P. Prof. Trusiówny, P. Popowiczówny, artystki opery lwowskiej i in. urządzili klerycy wieczorek kołęd i pasto-

rałek. Potem miały miejsce dwa inne wieczorki: na św. Mikołaja i na Trzech Króli, ale o nich trudno więcej pisać — tymbardziej, że miały charakter domowy. Warto natomiast wspomnieć o ostatniej atrakcji — o jasełkach. I tu, co ciśnie się najpierw pod pióro — to słowa uznania dla głównego reżysera, O. Dra Hipolita, za świetnie pomyślane i wykonane dekoracje. Okazało się, że z papieru, szmat i td., przy dobrym użyciu ruchomych świateł można wywołać doskonałe efekty. Artyści również dopisali, mimo że Maciuś dopiero na scenie schował okulary, że Herod wystroił swe nogi tylko w niewyraźnego koloru skarpetki, że w scenach zbiorowych raziły troszkę zmechanizowane czasem ruchy i brak indywidualnego wyrażania uczuć — ale całość przedstawiała się zupełnie zadowalająco.

Oto cząstka życia lwowskiej klerykównicy ujęta w skróty — oto wyczyny, które pozwalają i wykonawcom i innym przeżyć od czasu do czasu obfitujące w emocje chwile...

Dnia 6 lutego konwent lwowski pożegnał na dłuższy czas swojego Kustosza, O. Bronisława Szepelaka, który jako Wizytator wyjechał na wizytację śląskiej prowincji.

Obserwator.

## Karnawał... na zezowato...

Spójrzmy na świat w okresie karnawału. Wszystko się bawi i kręci. Girnią gongi jazz-bandowych orkiestr, szampan tryska — a w świetle złocistych reflektorów migają wyfractone sylwetki. Wszędzie gwar i wesołość. Jak się bawić, to się bawić — spodnie sprzedać, frak zastawić — oto dewiza karnawałowa!

A teraz karnawał w Kolegium, w naszym własnym świątku. Odcięci od świata, bawimy się na swój własny sposób, według własnoręcznych pomysłów — jak się to mówi. Czasami jest okropny karnawał, tzn. że walą się na nas różne kary, zwłaszcza na lekcji niemieckiego. Lecz jak karnawał, to karnawał — wszyscy się wesela, życie śmiechem bucha, śmiechem tryska. Grunt by na zakrętach zwalniać i strzec się „dyplomatycznych” pogawędek u O. Rektora i by luźne buty nosić. W ogóle „bractwo” od dłuższego czasu zapuszcza apetyt na tłusty tydzień, albo jedni do drugich zapuszczają się na paczki, chrusty i inne rzeczy drażniące-lakomo smaczne. (Używam takich chemicznych wyrazów pod wpływem kursu gazowego, który się u nas odbywa), inni w ogóle wszystko (za) - puszczają kantem, no, ale trudno — „zapust”. W naszych stronach okres karnawału nazywają „kusakami”. Choć u nas wszystko jest kuso. W kieszeni kuso, czasem w żołądku kuso, a ostatnimi dniami słyszy się często, że ktoś dostał Kuso-cińskiego... a przyczyną było obżarstwo. Skutki przedstawiają się nie tylko kuso, ale są godne pożałowania.

A teraz coś na staropolską nutę, coś z dawnych obyczajów zapustnych. My nie urządzamy przedstawień, czy rewii zapustnych; one się same urządzają. Kurtyna naszego teatru jest stale podniesiona, tzn. że obrazy przesuwały się mechanicznie, jeśli tylko ktoś patrzy wprawnym okiem. Grają wszyscy. Młodsi i starzy. Otóż uwaga, zaczynamy. Prosimy łaskawie nastroić się nie na wysokie „C” i być przygotowanym na wszelkie możliwości. Do biletu dodajemy darmo proszek na ból głowy, żołądka i uspokojenie nerwów. Cały gmach jest doskonale opalony, aż zwęglony (bo nie dawno był pożar) więc katar nie grozi. W razie czego „Aspiryna” jest na miejscu... Brat-opiekun jest dobry... Na początek przedstawiamy „turonia”. Państwo zapewne nie wiedzą co to jest „turon”, — a właściwie kto to jest „turon”. Jest to duża maskara na wysokich nogach, szeroka w ramionach, głowa jego jest osadzona na wysokiej szyi, na której widzimy ogromnych rozmiarów grzydkę! twarz ksęćcowa i td. Taki „turon” urządza różne komedie, a właściwie z niego urządza komedie... Został on wprowadzony z Jelnej, gdzie ongiś hasał diabeł Stadnicki. Pocziwie to „stworzonko”. Takich „turon” mamy więcej... Nie opisuję ich, bo są do siebie prawie podobni. Za-



## Z kroniki kolegiatnej

**Z Kółka Misyjnego.** Dnia 2 lutego br. urządziło Kolegiatne Koło Misyjne uroczystą akademię celem zapoznania okolicznego społeczeństwa z ideą misyjną. Przy szczerze wypełnionej gościmi sali O. Prefekt otworzył akademię — a po odegraniu przez orkiestrę kolegiatną Hymnu Papieskiego O. Dr Hipolit Legowicz, profesor studium lwowskiego — w charakterze legata N. O. Prowincjała, wygłosił podniosły referat na temat misyj w ogóle, a placówki Sachalińskiej w szczególności, wykazuje wielkie trudności misjonarzy. Następnie 4-głosowy chór kolegiatny wykonał: „Gdy śliczna Panna, Wieczorny dzwon, Serce Jezusa i Ty pójdziesz górą”. W przerwach między śpiewami wygłoszone zostały deklamacje „Pójdźcie, i Któżby uwierzył”. Dalszym punktem programu był popis orkiestry kolegiatnej, która wykonała poloneza „Kościuszko”, wiazankę „Polne kwiaty”, i marsza „Generał”. Na zakończenie odegrano sztukę misyjną „Powołanie” w 3 aktach, gdzie przedstawiono młodzieńca, który pragnie być misjonarzem, czemu sprzeciwia się ojciec. Silna jednak wiara młodzieńca przełamała opór ojca i wyprosiła u P. Boga jego nawrócenie. Całość wypadła zgrabnie i ładnie. Z wolnych datków zebrano na cele misyjne 27-80 zł.

Sekretarz Koła: *P. Pawełec.*

„turoniem” zjawia się niedźwiedz. Gruby jowialny miś. Pomimo zimy nie stracił na tuszy. Owszem podczas zapustów zapuścił większy brzuch. Jest to stary miś „Hilary”. Już 4 lata biedaczysko zimuje u nas i bierze udział w przedstawieniu. Bardzo pięknym okazem regionalnym był „Bocian”, ale biedaczysko zachorowało — upadł bowiem i pogruchotał kościska. Szkoda, pięknie się przedstawiał... Po wsiach ludzie chodzą z „Bocianem” — a on sam chodził jak bocian. Najoryginalniejszym zwyczajem zapustnym to „podkoziółek”, a u nas podkoziółki są bez cudzysłowu... Podkoziółki to potulne „stworzonka” uległe starszym „nadkoziółom”. Najlepiej ten zwyczaj zapustny „podkoziółek”, czy podkoziółki... wychodzi w klasie. Ale o tym zamilczę, bo oni w klasie też milczą. „Nadkoziółki” to już poważne — rogate — wąsate typy. Czasami lubią podnosić rogi, ale ktoś? im je zawsze spłówcje... Oprócz tych zwyczajów... jest jeszcze jeden ciekawy okaz kaszubski „Foki” (tzn. — on foka) — ale to jest gruba foka... tego, chciałem powiedzieć — ryba, więc daję jej, czy mu spokój.

Przenieśmy się teraz do sal „balowych”. Tu, gdzie odbywa się „Maskenball”. Tu prym wodzą „gentelmani” z Gorajca. Trzeba zaznaczyć, że są to pterwzoklaśni „salonowcy” o bardzo pięknych i dziwacznych „maskach”. Jeszcze jest bal prasy, ale o tym boję się pisać, boby mi szanowni panowie redaktorzy wyprasowali krzyże, tzn. gnaty. Tym i podobnym balom przygrywa nasza orkiestra, trzeba zaznaczyć, że różne porządne kawałki, często „starszawej mody”, ale u nas ciągle aktualne. Takie to w karnawale zdarzają się u nas „kawałki”. Za dużo się rozkarnawali i nasi aktorzy to mi dopiero teraz kar-nawala! Ale nie gniewajcie się, bo to tylko tak dla wesołości.

Życzę wam wesołej zabawki. Carne — Viva - Vale.

Ktoś z Kwaśnych-Kiszek.

**Z Kółka Naukowego.** Dnia 27 stycznia br. odbyło się zebranie sekcji polonistyczno-historycznej, na którym odczytał swój referat kol. Kowalczyk pt. „Lituratura polska w. XVIII”. Referat stał na wysokim poziomie i był b. gruntownie opracowany. Ujmował głęboko i wnikliwie wiele zagadnień i postaci z tego okresu. Dyskusja żywa.

**Z działalności Koła LOPP.** W dniach od 3 — 5 lutego włącznie odbywały się w sali gimnazjalnej wykłady lotnicze i przeciwgazowe dla społeczeństwa starszego. Przeprowadził je p. Instr. Szymanowski ze Zamościa. Podczas wykładów odbyły się pokazy bombowe. W międzyczasie dwu członków Koła Szkolnego LOPP. wygłosiło referaty. W każdej z czterech klas p. Instruktor miał wykłady o lotnictwie, gazach i LOPP.

Dnia 5 lutego odbyło się zebranie Koła Szk. LOPP., na którym kol. Olszewski wygłosił referat pt.: „Co nas interesuje z dziedziny LOPP”. Dyskusja nad referatem była b. ożywiona. Referat dość przeciętny.

Dnia 22. I. br. czciło Kolegium podwójną uroczystość: narodową — 75-lecie wybuchu powstania styczniowego i domową — 16-lecie założenia Kolegium. Rano wysłuchali Wychowankowie Mszy św., a następnie w auli kolegiatnej przemówił O. Rektor i rozdał nagrody prymusom.

Dnia 30 stycznia br. przybył ze Lwowa O. Dr Hipolit Legowicz, nadzwyczajny spowiednik kolegiastów. Dnia 31 stycznia, 1 i 2 lutego wygłosił O. Dr kilka nauk duchownych, po czym kolegiaci przystąpili do spowiedzi i Komunii św. Prócz tego miał Przewielebny Ojciec odczyt z własnych wrażeń podróży po Francji, szczególnie opisując miejsce związane z życiem św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Dnia 1 lutego br. Kolegium obchodziło uroczyste dzień Imienin Głowy Państwa. Na poranku O. Rektor przedstawił w krótkiej przemowie przywileje pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej i wykazał jak zaszczytny i odpowiedzialny jest jego urząd. Potem nastąpiły deklamacje i występ orkiestry. O. godz. 9. O. Prefekt odprawił uroczystą Mszę św. na intencję P. Prezydenta, w której wzięli udział Kolegium z Wychowawcami i Wychowankami, jak też 3 z okolicznych szkół i, niestety, nieliczni wierni. W czasie Mszy św. przygrywała orkiestra kolegiatna.

### S k ł a d k i

**Na fundusz prasowy Głosu Kol. złożyli:**  
OO. Bernardyni Przeworsk 6 zł, OO. Bernardyni Koło 5 zł, OO. Bernardyni Leżajsk 15 zł, p. Anna Janotówna Cieszyn 3 zł, p. Anna Kucharska Radecznicza 5 zł, p. Stanisław Poznański — Warszawa 5 zł.

**Na odbudowę spalonego dachu na Kolegium złożyli:**  
Klasztor OO. Bernardynów: — Lwów 100 zł, Zbaraz 200 zł, Leżajsk 140 zł, Dukla 10 zł, Tarnów 28 zł, Alwerinia 15-30 zł, Koło 50 zł, Sambor 50 zł; OO. Expozycji: O. Ewaryst Górski — Dźurków 5 zł, O. Honorat, — Kretowce 12 zł, NN. Lwów 100 zł.

Przez ręce **O. Kustosza Cypriana** następujące osoby nadesłały ofiary w dolarach na biednych wychowanków Kolegium i polecają się modliwom: Zofia Dąbrowska 2, Anna Kuc 1, Pelagia Sobkowiak 1, Antonina Łomasz 2, Wiktoria Bigos 1, Bronisława Urban 2, E. Chlebowska 1. Wszystkim P. T. Ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać” składa  
**O. Rektor.**

Redaktor naczelny i odp. O. Jan Duklan Michnar — rektor.

Tłoczono jako manuskrypt w Drukarni Głosu Kolegiatnego w Radeczniczy (lubelskie).